Nr 26. Kraków, 30 Czerwca 1894. Rok IV.

«KRAKUS» wychodzi w każdy Piątek wieczorem.

Administracya w księgarni «Spółki wydawniczej polskiej.»

Redakcya przy ulicy Straszewskiego l. 22.

KRAKUS

Prenumerata wynosi

w Krakowie

rocznie . . 2 złr. 60 c.
półrocznie 1 » 30 »
kwartalnie — 65 »

z przesyłką pocztową

rocznie . . 3 złr. — c.
półrocznie 1 » 50 «
kwartalnie — 75 «

pismo poświęcone sprawom politycznym i społecznym,

oraz nauce, rozrywce umysłowej i szerzeniu wiadomości pożytecznych.

Upraszamy uprzejmie o **odnowienie przedpłaty**, która wynosi:

Z przesyłką pocztową półrocznie 1 złr. 50 ct.
W Krakowie „ 1 złr. 30 ct.
W Państwie Niemieckiem półrocznie 3 marki.

Adresować należy:

Administracya „Krakusa“
w Księgarni Spółki Wydawniczej Polskiej w Krakowie
(Rynek, Pałac Spiski).



Jego Eminencya

X. Kardynał ALBIN DUNAJEWSKI

Książę-Biskup krakowski.

Zaledwo skończył *Krakus* pisać o skromnym, cichym, a tak zasłużonym, świeckim człowieku, kiedy wypadło mu znowu podzielić się z kochanymi Czytelnikami ze smutniejszą jeszcze nowiną o śmierci księcia Kościoła. Kto mógł przypuszczać, że ten, który tamtego do grobu składał, w miesiąc po nim sam pójdzie przed tron Przedwiecznego? Prawda, że starzec 77-letni, spracowany i skołatany dziwnemi kolejami życia, ale do ostatnich chwil jakże jeszcze czerstwy, jak czynny i rzeżwy! Niedarmo Chrystus Pan ostrzegał nas słowami: *„Czuwajcież tedy, bo nie wiecie dnia, ani godziny“*.

Żywot ś. p. Kardynała łączy się ściśle z tem wszystkiem, co z narodem naszym działo się w ostatnich kilkudziesięciu latach i dziwne przedstawia koleje.

Pochodził z rodziny szlacheckiej, która niegdyś na Podolu mieszkała i posiadała dobra ziemskie. Z biegiem czasu, jak w Ojczyźnie naszej, tak i w tej rodzinie dużo się zmieniło, ale pozostała dawna bogobojność i gorące przywiązanie do tej ziemi, która wraz z narodem przestała być wolną. Przyszedł na świat w Stanisławowie, tak chorą i wątłą dzieciną, że mu nikt życia nie obiecywał. Wielce świątobliwa matka ofiarowała go w tem utrapieniu Matce Najświętszej słynącej cudami w Kochawinie (w obwodzie stryjskim) i nad spodziewanie ludzkie chłopczyk do zdrowia przyszedł; chował się odtąd czerstwo i niemało sprawiał pociechy rodzicom. Bo i urodziwy był i wesoły i pilny w naukach, a przytem dziwnie łagodny i pobożny. Pierwsze nauki odbył w Nowym Sączu, w miejscu, które klasztorem poblizkim i tyloma legendami przypominało życie świętej naszej królowej *Kingi*. Nauki te odbył świetnie i na zawsze pozyskał sobie serca kolegów i znajomych. Trzeba było teraz obrać sobie zawód na całe życie. Wdzięczność dla Matki Najświętszej za odzyskane zdrowie, czystość serca, pobożność: to wszystko przemawiało za kapłaństwem. Ale widać nie był dość pewnym, czy podoła tak świętemu powołaniu, skoro do seminaryum nie wstąpił. Udał się do Lwowa i na tamtejszym Uniwersytecie (najwyższa szkoła) poświęcił się nauce prawa. Nauka szła znowu łatwo i już ją ukończył, kiedy dostał się do więzienia. Sąd skazał go na śmierć i życie jego wisiało na włosku. Na szczęście cesarz wyrok złagodził: przyszły Kardynał poszedł na ośm lat do więzienia. W 24 roku życia dostać się w takie nieszczęście i tyle lat siedzieć w kajdanach, to los bardzo straszny. Karę tę odbył on całkowicie, częścią we Lwowie, częścią w Szpilbergu na Morawie, gdzie nie on jeden z Polaków na taką srogą skazany był pokutę.

Żeby zrozumieć przewinienie, musimy sobie przypomnieć tamte czasy, bardzo burzliwe w całym świecie, a bardzo dla nas nieszczęśliwe. Kiedy ś. p. Albin przyszedł na świat (1817 r.), minęło zaledwo 45 lat od pierwszego rozbioru Polski. Rodzice jego mogli już patrzeć własnemi oczyma na powstanie i Kościuszki i krwawe wojny Napoleońskie. Wszystko to zawiodło nasze nadzieje, a zniszczyło nas okropnie. Można było

już wtedy przekonać się dowodnie, że na obcą pomoc liczyć nie możemy, a własna siła nasza nie wystarcza bynajmniej, żeby się wybić na wolność. Ale tego przekonania nie było, owszem, zdawało się nieszczęśliwemu narodowi, że siły ma dość, a znajdą się z pewnością tacy, co dopomogą. Nie brakowało wprawdzie takich, co rozważną i spokojną pracę nad duchowem i majątkowem podniesieniem wszystkich stanów uważali za jedynie dobrą drogę, ale ci nie umieli się skupić i przeszkodzić tym, co nieustannie o zbrojnych ruchach myśleli. Przyszło więc do powstania r. 1831. Powstanie to zakończyło się klęską, jak wszystkie, co potem były wzniecane i sprowadziło na naród wielkie nieszczęścia, ale miało w sobie chwile bardzo piękne, bo w kilku bitwach Moskale zostali pobici. — Ś. p. Albin miał właśnie lat piętnaście, kiedy się to stało. Łatwo zrozumieć, co się wtedy musiało dziać w tak gorącem i szlachetnem sercu studenta. Skoro starsi nie pojmowali nieszczęścia, jakie powstanie sprowadziło, a rozpływali się tylko nad odwagą polskiego wojska i nad kilkoma zwycięstwami odniesionemi: tem mniej mógł chłopiec choćby najbystrzejszy widzieć istotny stan rzeczy. Klęsk nie widział i nie rozumiał, a zbawienia Ojczyzny pragnął i sławą przez drugich w powstaniu zdobytą zapalał się do czynów podobnych: szlachetnych w celach swoich, ale nierozważnych i zgubnych w skutkach. Trzeba było tylko ludzi, którzyby powiedzieli, że nowe powstanie się przygotowuje, a on gotów był na wszystko. Takich ludzi nie brakło właśnie we Lwowie, kiedy ś. p. Albin, ukończywszy nauki w Nowym Sączu, przybył do Lwowa. Ludzi tych dostarczył *Paryż*, który na długie czasy stał się ogniskiem wszystkich naszych spisków i powstań.

Właśnie po powstaniu 1831 r. znalazło się w tem mieście dużo Polaków, którzy, unikając prześladowania rządu rosyjskiego, tam się schronili. Najzapaleńsi z tych utworzyli w Paryżu tak zwane *Towarzystwo demokratyczne* i zaczęli zaraz obmyślać nowe powstanie. Wyprawili mianowicie kilku swoich agentów do wszystkich ziem polskich, żeby zawiązywali tajne stowarzyszenia i tym sposobem przygotowali powstanie, które na znak dany z Paryża miało wybuchnąć. Do takiego to tajnego stowarzyszenia wciągnięto we Lwowie ś. p. Albina i to było przyczyną, że go uwięziono i na tak srogą karę skazano wraz z kilkoma innymi towarzyszami. Dla niego samego było to ciężką pokutą, ale niebawem skosztował i kraj cały gorzkich owoców tych tajnych stowarzyszeń One to bowiem dały powód do rabacy 1846 r., a równocześnie do ruchawki w Krakowie i do zaboru Wielkiego Księstwa Krakowskiego, które aż dotąd wraz z Krakowem było Rzecząpospolitą, jedyną z całej dawnej Polski ziemią niezawisłą bezpośrednio od żadnego mocarstwa.

Kiedy śp. Albin z więzienia wyszedł, już to wszystko się stało i jako 30-kilkoletni człowiek wiedział już, że powstania mogą nas dobić, ale Ojczyzny nam nie przywrócą. Roku 1848 na chwilę rząd austryacki zwolniał w nieufności do Polaków, postanowił też śp. Albin

---

Karczmarz i gospodarz.

Karczmarz:

Co to znaczy Michale, że karczmę mijacie
I tak rzadko teraz do mnie zaglądacie,
A waszym przykładem i drudzy się gorszą:
Czy z targu, czy kościoła, wprost do domu spieszą.
Widzę w tem wszystkiem tę przyczynę może,
Że wam ksiądz proboszcz przyjść do mnie nie każe,
Bo na nas żydków bardzo zagniewany,
Wprost każdemu mówi, że my są cygany,
Że pracę chłopa jak pijawki ssiemy —
On ubożeje — my się bogacemy.

Gospodarz:

Bogiem a prawdą — przekonał się chłopek,
Kto najbardziej czyhał na ten zboża snopek,
Bo chociaż pracował od świtu do nocy,
To się nie obchodził bez żydka pomocy,
Który mu radził — ale na swą stronę,
Czemu sam nie podołał, to zwalał na żonę,
A zawsze prawie tak kończył rozmowę:
Że chłopkowi ciemną rozkłopotał głowę
I ten kłopot kieliszkiem gorzałki zalewał —
Nad czem litościwy karczmarz ubolewał,
Dodawał trunku, choć chłop nie miał grosza,
I częstował przekąską, co wyjmował z kosza.
Wreszcie z tak podchmielonym, poczciwym chłopina
Zrobił rachunek niby z smutną miną,
Bo rachował w dwójnasób kieliszek koniaku,
Żydowską truciznę, wybornego smaku,
I dopowiadał, że koniak doktory
Dają teraz ludziom, gdy tylko kto chory,
I w takich to żartach kończył swój rachunek,
Zrobiwszy na chłopku maluśki rabunek.
Dorabiał się więc żydek, a chłopek ubożał,
Za to, że przyjacielowi swemu tak dowierzał.

Karczmarz:

Aj waj mir!
Jak wam rozum w głowie teraz przewrócili,
Bo jak można głośno takie rzeczy prawić,
Za któreby trzeba przed sądem się stawić;
Nas robić rabusiem, szynkarzem z trucizną,
To dla żydów na zawsze niezgojoną blizną —

wstąpić jako prawnik do służby państwowej w Krakowie. Niebawem wszakże dawna nieufność wróciła i śp. Albin, jako już raz źle u rządu zapisany, musiał gdzieindziej szukać pola do pracy. Na razie przyjął obowiązek dyrektora w drukarni *Czasu*, pisma, które po dziśdzień wychodzi w Krakowie. Długo na tem stanowisku nie był, bo hr. Adam Potocki z Krzeszowic, jeden z najzacniejszych panów, jakich wtedy Polska miała, powołał go do siebie w charakterze sekretarza do wspólnej pracy nad dobrem kraju. I Potocki, tak samo jak Dunajewski, dał się przedtem uwieść onym złudnym nadziejom odbudowania Ojczyzny przez powstanie i tak samo jak Dunajewski zakosztował więzienia i przekonał się, że powstanie to samobójstwo, a jedynie praca nad umysłowem i majątkowem podniesieniem wszystkich stanów prowadzi do celu. Zbliżeni do siebie dawnem cierpieniem i jednością myśli połączyli się wnet najściślejszem zaufaniem i najserdeczniejszą przyjaźnią. Praca obywatelska i narodowa, jaką rozpoczęli była wieloraka. Kraków po rozbiorach niezmiernie podupadł, a do tego pożar w r. 1850 zniszczył go do reszty. Kościoły i klasztory popalone, mieszczaństwo prawie bez sposobu do życia. Wtedy to dom ś. p. Adama Potockiego „pod Baranami" stał się skarbnicą otwartą dla wszystkich i spichrzem, z którego czerpano tysiące. Do Krakowa podobny był kraj cały po rabacyi i tylu innych nieszczęściach. Nawet najgorliwszym i najlepszym ludziom opadały ręce: nie wiadomo było, od czego zacząć robotę i jak ją prowadzić. Dom Potockich, jeden z najzamożniejszych, wziął się do skupienia rozprószonych sił i popychania ich do pracy zbawiennej. Jak w owem podnoszeniu z gruzów Krakowa, tak i w tem skupianiu i zachęcaniu obywatelstwa do nowego życia brał Dunajewski czynny udział. Zaznajomił się przy tej sposobności z najznakomitszemi osobistościami w kraju i otworzył sobie szerokie pole do pożytecznej dla Ojczyzny działalności a i do własnego, ziemskiego szczęścia, bo wyższe jego wykształcenie, zmysł praktyczny i prawy charakter przeznaczały go do wybitnych stanowisk, a szlachetność wielka i ludzkość jednały mu serca wszystkich. Był już nawet zaręczony i miał zająć bardzo poważne i zaszczytne stanowisko, ale Bóg chciał inaczej. Tuż przed ślubem narzeczona umarła i wszystkie marzenia ziemskie poszły z nią do grobu. Zawsze pobożny i bogobojny postanowił teraz śp. Albin wszystkie swoje siły i myśli poświęcić na wyłączną chwałę Bogu i na pożytek ludziom, a o sobie zupełnie zapomnieć. Ofiarowany niegdyś Matce Najświętszej po długich cierpieniach i zawodach wraca teraz pod Jej skrzydła opiekuńcze. *(C. d. n.)*

Mowa X. Arcybiskupa Poznańskiego
na wiecu katolickim w dniu 4 czerwca b. r

(Ciąg dalszy).

Gdziekolwiek wolność Kościoła poczynają krępować prawami i gdziekolwiek wpływ jego tamują, lub

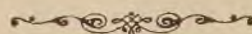
---

Szkoda tylko, że świadka teraz mi brakuje,
Ja to jednak później może powetuje.
Teraz was przestrzegam, Michale kochany,
Bo ja jeszcze nie jestem na was zagniewany,
Tylko wam szczerze radzę, tego nie powtarzać,
Broń Boże nas żydków za to nie obrażać —
Bo teraz i my się potrafimy bronić,
Aby się od hańby i wstydu ochronić,
Bo żydek pracuje na kawałek chleba
Ciężko, bardzo ciężko, uczciwie, jak trzeba.

Gospodarz:

Tylko prawda w oczy kole, a przeto was gniewa,
Że wam oświadczyłem, co świat o was śpiewa,
Praca wasza lekka, bo ciężkiej nie chcecie —
Toć każdemu znane, czego wy pragniecie.
Dlategośmy teraz przyszli do poznania,
Że żydek za dobytkiem naszym tak ugania,
Bo ze światłym człowiekiem bardzo trudna rada,
Za to chłopka ciemnego wnet się okpić uda,
I na tej podstawie zbliża się ku niemu
Z przyjaźnią fałszywą, by zaradzić złemu —
Przez słówka ponętne, życzliwe, przychylne,
Każdyby sądził, że są nieomylne.
Ta głęboka wiara była wprost szkodliwa,
Dziś się jej już chłopek nie rad przysłuchiwa.
Dlatego wam radzę, mój szynkarzu stary,
Porzuć swego talmudu ohydne przywary —
Pamiętaj to sobie i drugich nauczaj,
Że teraz już w Polsce całkiem inny zwyczaj.
Okpić, szachrować, cyganić, wyłudzić,
Tego się trzeba i przed chłopkiem wstydzić,
Bo chłopek biedę poznał i przejrzał na oczy —
Dziś umie osądzić, kto mu dobrze życzy,
Posyła więc do szkoły chętnie dzieci swoje
I moralne książki gorliwie czytuje,
Jakich mu księża, panowie życzliwi
Dostarczają — bo pragną, by chłop był szczęśliwy,
Za co im stokrotne dzięki zanosimy,
Bo wdzięczność za życzliwość dobrze pojmujemy.

K. P. z Niepołomic.



gdzie podkopują powagę Biskupów i kapłanów, znakiem, że pracuje tam duch ciemności, że rozpoczęta walka przeciw Kościołowi. Gdziekolwiek zaczynają wołać, że wiara winna się zamknąć w murach Kościoła, że nie wolno Kościołowi się starać, aby jego zasady i prawdy znalazły zastosowanie w życiu publicznem i społecznem: to głos ducha ciemności. Najwyższy nauczyciel prawdy, Leon XIII, w tym względzie encyklikami swojemi ze snu budzi ludzi dobrej woli.

Wy, Synowie moi, którym Bóg polecił przednią straż obrony Wiary św. tu na wschodzie, nie uśniecie na tych czatach. Nie pozwolimy sobie wydrzeć tego skarbu ani przemocą, ani podstępem, wiemy bowiem, że w tym skarbie wiary wszystko dla nas się mieści, że Kościół jest tą Arką Noego, w której ocalić i uratować możemy wszystkie nasze świętości. Dlatego nie będziemy obowiązków religijnych naszych zamykać jedynie we własnem kole rodzinnem, nie będziemy obojętni na zwodzonych i ginących braci, nie będziemy spać, ale będziemy czuwać, aby nieprzyjaciel nie zasiał kąkolu na niwach naszych.

Mam nadzieję, że synowie narodu, który przez tyle wieków pozostał wiernym krzyżowi, nie będą ostatni w czuwaniu przy pracy nad obroną najświętszych dóbr naszych, pamiętni tego, że wszystko, co wielkie jest w naszych dziejach, wynikło z wiary, wzrosło z wiary, jak najpiękniejsze czyny, największe postacie dziejowe, czy bohaterów, czy mocarzy ducha aż do ostatnich dni naszych. My ich sztandaru nie opuścimy. Odwieść nas od obrony jego nie zdoła żadna pokusa, żadne kłamstwo, żadne zwodnicze dni naszych hasło, albowiem wiemy, że tylko Chrystus jest fundamentem, na którym buduje się szczęście ludzi, narodów i świata całego. Jak Ojcowie nasi, tak i my wyznajemy głośno, jawnie, i dzisiaj w tem zgromadzeniu, że „nie znamy innego zbawienia, krom tego, które jest w Imieniu Jezusa Chrystusa“.

Prawdy wiary, zastosowane w życiu, jedynie zabezpieczyć mogą ludzkości jej szczęście, jej spokój doczesny — zabezpieczyć to, co jej zbawieniem zowiemy, panowanie Królestwa Bożego na ziemi i w duszy i w życiu narodów, urzeczywistnić jedynie zdołają. Aby tego nie dopuścić, usiłuje duch przewrotu siać uprzedzenia, nienawiść do Kościoła, walczy nieprawdą, jakoby się Kościół sprzeciwiał uprawnionemu, doczesnemu szczęściu ludzkości, jej pragnieniom uprawnionym, jakoby był wrogiem postępu, wolności i braterstwa. I trzeba umyślnie sobie zakrywać oczy na dzieje świata, aby tego nie uznać. Postęp i to w nieskończoność, postęp nie tylko w duchowym, ale i w moralnym i społecznym kierunku, to hasło chrześcijańskie.

Bóg sam nas nie tylko wzywa, ale daje środki i łaski, abyśmy się starali stać podobnym Najwyższej Istocie, Najwyższej Mądrości, Jemu Samemu. Każde rozszerzenie wiedzy i nauki naszej do tego szczeblem, dążenie do tego w tej myśli: cnotą i zasługą. Zaniedbanie talentów, lenistwo: grzechem. Nauka i wiedza, gdy takie znajduje pobudki i taki ma cel w nauce Wiary naszej świętej, czyż Kościół tamuje ten postęp ducha?

A w moralnym porządku czyliż wiara chrześcijańska nie stała się źródłem postępu w cnocie takiego, jakiego świat pogański nawet nie znał? Ileż to razy trzeba nam rzucać zasłonę w dziejach na to, jak w narodach niby oświeconych występki najbrzydsze mogły się jako uprawnione rozpościerać. A jakiż obraz przedstawiają pod tym względem ludy i dzisiaj, do których nie dotarło światło wiary!

Czyż Kościół nie starał się też w porządku społecznym, aby narody postępowały podług praw rozwoju przez Boga w naturze złożonych, do coraz większej doskonałości, do coraz większego dobrobytu. To jedno słowo: „miłuj bliźniego, jak siebie samego“, ileż cudownej przemiany dokonało i dokonuje na świecie! Jakąż nieustającą i rzewną a mądrą troskę rozwija tu przed oczami naszemi Ojciec św. Leon XIII!

(Dok nast.)

O przesyłaniu miecza i czapki przez Ojca św.

Już Piotr św., pierwszy w Kościele Boży Namiestnik, czasu pojmania Pańskiego z mieczem się ukazuje W owe chwile idąc Chrystus do Getsemanii, rzekł uczniom: Kto miecza nie ma, niech przeda płaszcz swój, a kupi miecz. (Łuk. XXII. 26).

I stał się w Kościele oręż znakiem gotowości do walki, a męczeńskim zwycięstwa symbolem.

Dotąd oto w godzinę Narodzenia Pańskiego, błyszczy miecz w ręku Papieża.

Obrzęd święcenia oręża odbywa się w Rzymie o północy po Mszy pasterskiej. Ojciec św., purpurą przyodziany, błogosławi u grobu św. Piotra miecz obosieczny i mitrę z gołębicą u jej szczytu.

Mamy ślady już od r. 1177 o przesyłaniu oręża takiego i czapki monarchom, dobrze Kościołowi zasłużonym. Upominki owe są symbolem zwycięstwa Chrystusa nad piekłem, znamionują moralną władzę Stolicy Apostolskiej i obowiązek bronienia Wiary świętej, jaki mają władcy ziemi i wszyscy katolicy. Wreszcie miecz ten Ducha św. (*gladium Spiritus S.*) i mitra zbawienia (*galea salutis*), oznaczają wogóle Kościół wojujący i tryumf zwycięzców w tej walce.

Znamy spis obdarzonych przez Papieży orężem Piotrowym, z czasu od r. 1177 po 1726. Przez sześć wieków 27 mieczów rzymskich światu rozdano, a w ich liczbie 10 na Polskę przypada.

Otrzymali miecz taki między innymi: Władysław Warneńczyk, Zygmunt Stary, Stefan Batory, Michał

Wiśniowiecki, Jan III. Przesłany przez Pawła III Zygmuntowi Augustowi, przechował się w skarbcu Katedry krakowskiej; ów zaś Stanisławowi Lubomirskiemu (w r. 1658) dany, zostaje dotąd w rękach rodziny.

Pełno w kronikach naszych opisów arcyuroczystego obrzędu przyjmowania tego apominku Apostolskiej Stolicy. Zwykle poseł papieski wręczał ów dar wysoce ceniony. Jednemu tylko Władysławowi IV sam Urban VIII miecz do boku przypasał, a głowę mitrą uwieńczył.

Prócz współczesnej książki Tomasza Vitalisa, wiele mamy źródeł, z których szczegóły tej pięknej chwili podać możemy. Wytłómaczą one nam zarazem wewnętrzne całej ceremonii znaczenie.

Oto treść listu, którym Urban VIII zaprosił do siebie Władysława IV, gdy ten nasz Królewicz zbliżał się do Rzymu:

„Ukochanemu w Chrystusie synowi naszemu życząc zdrowia, Apostolskie dajemy błogosławieństwo.

„Rzym, to ojczyzna rodu ludzkiego, wielekroć widział w murach swoich walecznych zwycięzców, co korony różnych królestw zwieńczały ich skronie — upadali oni tutaj na kolana u grobu Rybaka. Dziś ten Rzym ciebie tęsknie wygląda, a chcąc cię coprędzej powitać, przybyciem twojem się cieszy... Będziesz nam miłym Polski królewiczu, ty co się już zasłużyłeś Kościołowi zwycięstwy nad Turkiem i Tatarami, nieprzyjaciółmi Chrześcijaństwa... Rzym wie, że twoją walecznością upadł nieprzyjaciel, co Europie nowym zagrażał potopem; a więc mile powitają cię w tej stolicy, gdzie są znane dowody męstwa Polski, tej twierdzy Chrześcijaństwa całego... My zaś oddawna imieniowi i sławie twojej życzliwi, powitamy cię w ramiona Apostolskiej miłości, jako ozdobę północy i wiary obrońcę...

„Dan w Rzymie 28 października 1624 r.“

List ten wręczył witający Władysława imieniem papieskiem ks. Karol Magalloti.

Do Castelnuovo wyjechał na spotkanie królewicza kardynał de Torres — przed Rzymem, mimo deszczu cała ludność wiecznego miasta wystąpiła na powitanie Polaków. Wchodzącego do Ojca św. Władysława spotkał Kardynał Barberini. Papież pocałunkiem ojcowskim i przytuleniem do serca powitał królewicza; a w czasie rozmowy wskazał mu krzesło po prawej stronie tronu swego.

Sama zaś ceremonia przypasania miecza i włożenia mitry odbyła się następnie w nocy Bożego Narodzenia. Rozpoczął ją psalm 60-ty wyjątkami z innych w modlitwy zestawiony, a ułożony na intonacyę papieską i odpowiedzi asystującego Duchowieństwa. Oto przekład polski.

Królewicz klęczy — Ojciec św. śpiewa:

„Stań się dla nas Panie wieżą mocną, przed nieprzyjacielem. — Nic nie zyszcze nieprzyjaciel, a syn nieprawości nie zaszkodzi. — Mocą moją i chwałą moją Pan, On mi zbawieniem. — Choćby stanęły przeciwko mnie wojska, w Tym ja nadzieję położę. — Nie bywa wybawion król przez wielką moc, ani olbrzym zachowan będzie wielkością siły swej. — Jedni w wozach, drudzy w koniach, my zaś w imieniu Pana zastępów ufamy.

„Wszechmogący wieczny Boże! Ty, w którym jest walczących męstwo, a chwała zwycięzców, racz ukochanego syna naszego Władysława, uzbrojonego tarczą łaski Twojej, ozdobić mitrą zbawienia, a koronę najwyższej zacności włóż na głowę jego. Spraw, aby wśród srogości walki, mógł się bezpieczny znaleść w pośród śmierci, wychodząc zwycięzcą dla chwały Boga i na zasłonę wiernych Jego“.

Papież siedzący wkłada na głowę klęczącego królewicza mitrę, mówiąc:

„Bierz, ukochany synu nasz, mitrę tę jaśniejącą promieńmi Ducha św., w której perły nie znamionują srogości drapieżnych, ale mówią o niewinności gołębicy tego ptaka pokoju. Pamiętać powinieneś: że wojny tylko wtedy są sprawiedliwe, kiedy się prowadzą nie o przywłaszczenie sobie panowania lub dla zdobyczy, ale z natchnienia Ducha św. dla pomnożenia wiary i ustalenia pokoju.

Tu Papież wstaje, dobywając miecza z pochwy:

„Biada narodowi, który powstaje przeciw ludowi memu, Pan wszechmogący pomści się.— Przeklęty, który hamuje miecz od krwi i nie czyni pomsty nad pogany. — Porwij Panie broń i tarczę, a powstań mi na pomoc. — Osądź Panie szkodzących mi, a zwalcz wojujących przeciwko imieniowi Twemu. — Miecz ich niech im serca przeszyje, a łuk ich niech się złamie. — Będzie się weselił sprawiedliwy, gdy ujrzy pomstę, ręce swe umyje we krwi grzesznika. — Oznajmiłeś między narody moc Twoją, odkupiłeś ramieniem Twojem synów Jakóba i Józefa.

„Wszechmocny wojowniku, któryś straszny królom ziemi, a prowadzisz ich na wojnę, przypasz ukochanemu Władysławowi miecz, który zwalcza zastępy piekła, a pokonywa napastnika. Niech nim zetrze lwie zęby występnych, a Tobie Panie podda niewierne pogany“.

Papież siedząc, oddaje goły miecz królewiczowi.

„Bierz ukochany Władysławie oręż Pana zastępów, miecz zbawienia — niechaj On w prawicy Twojej, będzie dla niewinnych opieką, bezbożnym chłostą, a Kościołowi niech przybywa świetnych promieni z pobłysków jego“.

Królewicz podaje oręż Papieżowi. Ten chowa go do pochwy, przypasuje obdarzonemu i mówi:

„Niech Bóg do bioder twoich miecz przypasze. On pysznych strąca a pokornym łaskę daje. Zwycięstwami czcij Pana wodza wojsk i Pana mściciela“.

I odszedł Władysław z mieczem święconym u grobu Rybaka...

Innne teraz nastały dla nas czasy... Miecz nasz został w rękach Ojca św. i tym mieczem sprawiedliwości Bożej broni On nas bez wytchnienia — i bronić będzie, dopóki godni tego będziemy: dopóki w Wierze św. trwać i w jej obronie stawać nie przestaniemy. A pamiętajmy dobrze słowa Chrystusa: **„Jam jest droga, prawda i żywot“**. Po za Nim nie znajdziemy ani doczesnego, ani wiecznego szczęścia.

Kuba i Marek o Ostrawie.

Obrazek z Bocheńskiego.

Kuba: Pochwalony Jezus Chrystus!

Marek: Na wieki wieków — witajcie, witajcie! A cóż się to stało, żeście tak długo nigdzie się nie pokazali?

K. Nie było mnie w domu — a nawet we wsi.

M. No to gdzieżeście byli?

K. W Ostrawie.

M. A biesi was tam poprowadzili — czy i wam zachciało się ostrawskiego zarobku, kiedy macie i gospodarstwo, jak się patrzy i znacie się na niem, za co się wam też zawsze opłaca?

K. Nie biesi, ani chciwość zarobku, ale moja z troskliwości za swym siostrzeńcem Jantkiem, sierotą, tam mnie wyprawiła.

M. A to znów co nowego? przecież Jantek poszedł na służbę do p. Koniewskiego i tam pono nawet bardzo dobrze się sprawował?

K. Prawda, że tam służył i byłem z tego bardzo kontent, bo u tego mądrego pana byłby się i dobrze w gospodarce wyćwiczył. Pani także bardzo dbała: czeladź w każde święto i niedzielę wysyła do kościoła, a do spowiedzi parę razy do roku, to się też tam i nie tak rozpuszczają jak po innych dworach. Ale cóż to nie zrobią buntowniki, którym niedowarzone głowy dają się zawsze zbałamucić! Oto Kurdecka Wawrzek przyszedł z Ostrawy na Zielone Świątki, wyubierany jak panicze, ze zegarkiem w kieszeni, wielkim jak karpiel, wiszącym u kamizelki na łańcuchu tak grubym, że możnaby wóz nim zahamować z góry. To się bardzo wszystkim zaraz spodobało; zbuntował parobków dużo a pono i dziewki nawet i pognali za nim do Ostrawy, jakby po niebieskie migdałki, a i Jantek za nimi!

M. O rety! co wy też gadacie? To ten Wawrzek, co to u Wojtka służył, takie dziadzisko i próżniaczysko zawsze obtargane?

K. Tak jest, ten sam. Dwa lata, jak poszedł do Ostrawy, a już na pana się przebrał — a jeszcze, o zgrozo! naszej kochanej, polskiej mowy zapomniał! Udawał jakąś mowę obcą, wykręcał pyskiem jak pies ogonem, jakby miał kluski w gardle a glisty w nosie i trudno się z nim zmówić! I wiecie, co mu się stało? Poszedł do Jegomości po metrykę, bo mówił, że się tam będzie żenił. Myślał, że go Jegomość nie pozna i zaczął tą wykrzywioną mową gadać do Jegomości, a nawet go już w rękę nie pocałował, ani tam Boga nie pochwalił! Jegomość też udał, że go nie poznał i począł do niego gadać po niemiecku, bo widział z mowy i ubrania, że to przecie nie Polak. Wawrzek zaś ani słowa nie rozumiał. Mówił do niego potem po łacinie, po żydowsku i jeszcze po jakiemuś, ale Wawrzek gębę otworzył i nic. Jegomość się umęczył z nim dużo, wreszcie mówi po polsku: Widzę, żeś nie katolik, boś Boga nie pochwalił, nie Polak, bo po polsku nie umiesz, nie Niemiec, nie łacinnik, bo nic nie rozumiesz z ich mowy — całyś ni to ni owo, przeto się mi wynoś z kancelaryi. Wawrzek okropnie się zawstydził, bo tam było więcej ludzi i na drugi dzień dopiero poszedł z matką. Jegomość powsiadł pono na matkę, czemu go po polsku nie nauczyła choć Boga pochwalić i pacierz zmówić, a matka się, jak mogła, składała, że nie winna nic temu. Powsiadł też potem i na niego, a wtedy Wawrzkowi i kluska z gęby wyleciała i język się odklei! i mówił dopiero, jak się należy. Usłyszał też tam nauki, usłyszał! Powiedział, że wolałby metryki nie potrzebować, ani się nie żenić.

M. Dobrze mu też to zrobił Jegomość, niech mu Pan Bóg da zdrowie. Godzien był nagany za takie wypieranie się Boga, drogiej mowy ojczystej i ubrania ojcowskiego. Jednak nie można ganić Ostrawy, choć ona tak w głowie naszym ludziom przewraca, bo bardzo dobry jest tam zarobek. Mój Franek chwali sobie bardzo. Bierze tyle na miesiąc pieniędzy, co we dworze za cały rok służby, a mówi, że i lepiej zje i ładniej się ubierze.

K. Prawda, i ja tak samo myślałem o Ostrawie, póki tam nie byłem i na oczy wszystkiego nie widziałem.

M. No i cóż takiego się wam tam nie podoba? po co wy tam poszli?

K. Adyć jak puścili pogłoski w gazetach, że tam żandarmi do ludzi strzelali, to moja okropnie się zlękła o Jantka. Chciała zaraz jechać od małego Jaśka i nie mogłem ją utrzymać, aż sam się wybrałem, bo przecie lepiej chłopu puścić się we świat, jak nieporadnej babie, która chałupy i dzieci nigdy odchodzić nie powinna. Pragnąłem też zwiedzić inne kraje i widzieć, jak tam gospodarzą.

M. No, gadajcież prędko, coście najpierw ciekawego w Ostrawie widzieli i dlaczego się wam ta Ostrawa nie podoba, bom bardzo ciekawy?

K. Bo Ostrawa nie tylko przynosi szkodę nam gospodarzom, bo sługi utrzymać, ani robotnika nająć

nie możemy, ale szkodzi okropnie i tym, którzy tam uciekają, jak muchy do miodu zatrutego. Szkoda wielka tych biedaków, bo tracą tam wiarę, tracą miłość do rodziny, przywiązanie do pracy rolnej, próżniaczą się — i dają się porwać tym *masońskim usłużnikom*, co nam to o nich „Walenty“ w *Krakusie* mądrze opowiadali, a którzy w Ostrawie grasują pomiędzy nimi, jak cholera i w głowie im całkiem przewracają. Oni, ci *masońscy usłużnicy*, albo *anarchiści* lub *socyaliści*, bo to jeden djabeł, pobuntowali ich w maju tak, że aż powstanie zrobili, nikogo słuchać ani robić nie chcieli i jeszcze władze zelżyli, a gdy żadne perswazye nie pomogły w obronie porządku i bezpieczeństwa, strzelaniem grozili. Skoro groźba nie pomagała, a te próżniaki na złość coraz bardziej robili, musieli dać ognia do buntowników. Kilku zostało zabitych na prawdę i dopiero widzieli, że to nie śpasy, wtedy cofać się i rozchodzić poczęli. Będą ich mieć na sumieniu te *masońskie usłużniki!* Jantkowi się nic nie stało przecie. Był razem z powstańcami, bo musiał. Powiedzieli buntowniki, że jak nie pójdzie, to go zabiją, więc poszedł. Ale się też napatrzył, że ci właśnie, co najwięcej buntowali i wołali: nic się nie bójcie, pokryli się, skoro strzelać zaczęli, a niektórzy może ze strachu lub spekulacyi plackiem na ziemię popadali — takie tchórze! Ale przecie ich niektórych połapali i siedzą już w dziurze.

M. E, kieby ich to powiesili za takie łajdactwa, za tę krew niewinną, to dobrzeby zrobili!

K. Więc cóż warta Ostrawa, skoro i życia nikt nie pewny? Ale nie tylko nie pewny dlatego, że go drudzy zabić mogą, jak nie będzie z nimi krakał, ale nie pewny każdego dnia w robocie. Robota bardzo ciężka pod ziemią. Duszno tam bardzo, ciemno, często się tam albo gazy zapalają, albo się te podziemne piwnice zawalają i śmierć gotowa. Każdy codziennie idzie jak kozioł na ofiarę do onej roboty, a ze strachu i z braku światła i świeżego powietrza, to wszyscy wyglądają blado i nie wesoło! Więc szkoda dla zdrowia i życia. Szkoda i dla duszy tam nie mała! Jest ich tam tysiące a to rozmaita zganianina — zepsuci niektórzy bardzo przez rozpustę i pijaństwo i *masońskich usłużników*, którzy, jak przyjdzie niedziela lub święto, ściągają ich na swoje bezecne pogadanki, odczyty, lub do lasu wyprowadzają, żeby ich to od Boga, od Kościoła i od świętej religii odwieść! Nie ma też tam i na kieszeń korzyści. Robią okropnie, bo nie na dni ale na metry robią, to się też zwijają i nie stoją i nie gadają, jak to na zagonie, ale robią, co z mocy. Zarabiają papierka a nawet półtora na dzień. Ale tego na nich nie znać. Wszystko trzeba dobrze zapłacić: spanie zapłać, za gotowanie zapłać, za stancyę zapłać — chleb kup, omastę kup, ubrania masę zedrze, a jeszcze i *masońskie usłużniki* i różne lamparty masę od nich wydzierają, wycyganiają! Na służbie jedzenia sobie nic nie rachują, jeno na zasługę patrzą, a tam się przekonują, że wszystko przejedzą i nic im nie zostanie.

M. Ale za cóż się tak ładnie ubierają i zegarki kupują?

K. No dyć posłuchajcie, jak Wawrzek Kurdecka zrobił, jak się do swoich chciał pokazać: Poszedł na tandytę do żyda, zastawił książeczkę służbową i za 2 papierki wypożyczył eleganckie ubranie ze zegarkiem, kapeluszem na 3 dni. Ale gdy się nieborak przez tę metrykę opóźnił, że za 4 dni dopiero wrócił, a jeszcze potem żyd i plamę i jakąś dziurkę w ubraniu wynalazł, nie chciał przyjąć w żaden sposób ubrania i wydać książeczki. Musiał aż płakać nieborak i pięknie handlarza prosić, który dopiero po dopłacie drugich dwóch reńskich pozwolił się przebłagać. To macie Ostrawę! Jeszczebym wam dużo miał opowiadać o Ostrawie, ale na dziś tyle wystarczy, boście zmęczeni, a i mnie się spieszy. Jantka wziąłem do domu i nie puszczę hultaja więcej. On nawet sam nie ma ochoty, bo mu bardzo tęskno było i zdrowie mu nie służyło.

M. Bóg wam zapłać stokrotnie, boście mi teraz dopiero oczy otwarli. Napiszę zaraz po Franka i Kaśkę, niech przyjadą i robią razem ze mną, bo roboty nie brakuje w domu, ani we dworze, gdzie przecie, co mogą, płacą.

K. Najlepiej zrobicie, jak ich ściągniecie. Zróbcie to jak najprędzej, dopóki im tam całkiem w głowie nie przewrócą. — Bywajcie zdrowi, a na drugą niedzielę przyjdźcie pod lipę z Wojtkiem i Jaśkiem, bo są ciekawi, a opowiem wam więcej z tej mojej podróży.

X. Jan P.

Dziwy świata.

(Ciekawe opowiadania starego Szczepana przez Sewe- ryna Udzielę).

III.

Jak to Szczepan chciał słońce przegonić i dlaczego mu się to nie udało.

Nadeszła niedziela. Dzień był jasny i pogodny chociaż mroźny; słońce przyświecało pięknie, ale śnieg skrzypiał pod nogami. Po nieszporach przyszli do Szczepana obydwaj sąsiedzi, Marek i Jakób, a z nimi dwóch innych gospodarzy i później dwóch jeszcze tak, że dzisiaj miał Szczepan komu opowiadać, bo razem z córką i zięciem i z wnukami było dziesięciu słuchaczów. Bardzo się to podobało staremu, bo opowiadać lubiał, byle tylko miał kto słuchać, gadałby nawet noc całą.

Po przywitaniu i usadowieniu się, pierwszy się odezwał Marek, bo i on był do wszystkiego ciekawy jak Szczepan za młodu.

— Kiedy ludzie ziemię objechali, to ją też musieli

i wymierzyć. Czy nie wiecie Szczepanie, jaka też może być ta kula ziemska?

— Gdyby się udało ziemię wokoło opasać sznurem, toby ten sznur musiał być długi na pięć tysięcy czterysta mil, to jest czterdzieści jeden tysięcy kilometrów. A gdyby ją kto potrafił przebić przez środek na wylot naprzykład drągiem, toby na to potrzeba było drąga na tysiąc siedmset mil długiego, czyli na trzynaście tysięcy kilometrów.

— No to, chwała Bogu, jest się gdzie pomieścić— odezwał się jeden z nowo przybyłych gospodarzy.

— Nie poskąpił nam Pan Jezus ziemi, to też dużo jest jeszcze krajów tak pustych, że nie ma tam ani jednego człowieka — odrzekł Szczepan.

— Ale powiedzcie nam Szczepanie, gdzie się słonko podziewa, gdy zachodzi? — zapytał Jakób.

— Moi kochani, nad tem sobie ludzie dosyć głowy nasuszyli. Wtedy jeszcze, kiedy wszyscy myśleli, że ziemia jest płaska, jak deska, a dokoła jest otoczona rzeką, mówili między sobą, że słońce, gdy zachodzi, wpada w tę rzekę, co tak prędko bieży, że przez noc opływa pół ziemi i przynosi słonko na wschód, które się wtedy z wody otrzepie, jak kaczka i znowu wyjdzie na niebo, żeby nam przyświecać. Potem myśleli ludzie, że tam daleko na zachodzie jest w ziemi wielka dziura jak studnia, w którą się słońce chowa, przechodzi przez noc po pod ziemię i potem drugą taką dziurą na wschodzie wychodzi.

Byli więc tacy ciekawi, co chcieli słońce podpatrzeć i znaleść to miejsce, gdzie ono zachodzi. Każdy widział, że słońce posuwa się powoli po niebie, to też był pewny, że skoro będzie szedł ciągle od rana na zachód, nie da się słońcu wyprzedzić. Jeden wyszedł z domu pieszo równo ze świtem, ale zaledwie zrobił sześć mil drogi, już go słońce daleko wyprzedziło i zaszło — drugi wybrał się w tę podróż konno i chociaż dwanaście mil przez dzień zrobił, został w tyle, a słońce zaszło i nawet po miesiącu takiej podróży nie przybliżył się ani trochę do słońca. Ha, myśleli sobie ludzie, pewno to zachodzi słońce tak daleko, że chociażby przez całe życie iść, nie zaszłoby się tam jeszcze.

O tem wszystkiem czytałem w mojej książeczce, ale też wtedy pomyślałem sobie: dawniej trudno było dogonić słońce, bo ludzie musieli biedz albo końmi jeździć a nie było kolei; ale teraz skoro mamy koleje, co tak prędko pędzą, że w godzinę robią cztery mile, to kto wie, czyby się nie udało dojechać do zachodu słońca, które przecież bardzo pomału po niebie wędruje. Jakby mi kto klin wbił w głowę, tak się mnie ta myśl uczepiła i przemyśliwałem tylko nad tem, jakby się to kiedy puścić w pogoń za słońcem.

— Ej, z was Szczepanie, to strasznie ciekawy człowiek do wszystkiego — odezwał się Jakób.

— A no, mój Jakóbie, człowiek nie zwierzę, myśli o wszystkiem i chciałby wszystko wiedzieć, bo na to mu dał Pan Bóg rozum.

— Opowiadajcie dziadku, jakeście to za słońcem jechali — prosiła Marysia.

— Może będzie temu ze dwanaście lat, kiedy nadarzyła mi się do tego sposobność. Prowadziłem od granicy rosyjskiej z Tarnopola dziesięć ładnych koni do Wiednia. Było to w lipcu. Pociąg wychodził ze Lwowa o tej samej godzinie, o której słońce wschodziło wtedy; a że ze Lwowa do Wiednia jedzie się ciągle ku zachodowi, mógłem więc mieć sposobność gonić się ze słońcem.

Wyjechałem ze Lwowa, a słońce dopiero wschodziło. Cieszyłem się, że jestem na przodzie a ono daleko, daleko za mną w tyle; kto też z nas pierwszy będzie na zachodzie? Słońce posuwało się pomalutku po niebie, a my jechaliśmy tak prędko, że się aż w oczach mieniło a w uszach huczało. Ujechałem już kilkanaście mil, kiedy się słonko trochę podniosło. Dzień był pogodny i przyjemny, a ja myślałem sobie ciągle, co też zobaczę, jeżeli przyjadę na zachód pierwej niż słońce. Ale chociaż zdawało się, że się słonko tak pomału wlecze, przecież gdyśmy dojechali do Dębicy, już się zrównało z nami. Źle, myślę sobie, jak widać, to się i kolej na nic tu nie przyda. I tak się stało. Od Dębicy słońce zaczęło nas wyprzedzać, w Krakowie już było daleko przed nami, a ledwiem dojechał na Szląsk, zaszło — zaszło nie bliżej nawet, jak tu u nas codziennie zachodzi.

— Toście nie złapali słonka, dziadziu? — zapytał zasmucony Jaś.

Wszyscy się rozśmiali, a Szczepan rzekł:

— Oj nie, moje dziecko, jeszcze go nikt nie złapał i nie złapie.

— Szkoda, takie ładne — mówił chłopiec.

— Oho, już ja wiem — zawołał Marek — skoro ziemia jest okrągłą, to ją słoneczko wokoło obchodzi i wszystkim ludziom na całej ziemi przyświeca po kolei.

— Tak mój sąsiedzie — mówił Szczepan — i dziura w ziemi niepotrzebna dla słoneczka, jest ono zawsze i wszędzie tak wysoko jak u nas i na ziemię nie spuszcza się nigdy; to też ludzie szukali tego, czego nie ma.

— I słoneczko i księżyc wędruje po niebie i tyle gwiazdek widzimy na niem — odezwał się Józef — to też człowiek ciekawy, czego Pan Bóg stworzył niebo?

— Dawniej myśleli ludzie, że się prędko o tem dowiedzą, wyjdą tylko na pagórek, niebo oglądną, pomacają i już będą wiedzieć, z czego one stworzone. Ale kiedy się przekonali, że nieba nie dosięgnie, że się nigdzie o ziemię nie opiera, że w każdem miejscu jednako wysoko wznosi się nad nami, poczęli sobie łamać głowę, z czego jest niebo. Najpodobniejsze zdawało się do szklannej bani. Ale pomyślcie sobie, czy to możebne, żeby była taka straszna bania szklanna,

w której środku może się zmieścić ziemia. To księżyc posuwa się po szkle? To chmury z deszczem, gradem lub ze śniegiem po szklannej jeżdżą bani? Jakoś trudno uwierzyć, żeby Pan Bóg był szklarzem; zostawił On to ludziom. Zastanawiałem ja się nad tem wszystkiem i doszedłem do prawdy.

— Jak to samiście się przekonali, z czego jest niebo? — zapytał zdziwiony jeden z gospodarzy.

— Sam, mój sąsiedzie, a skoro potem czytałem w książce o niebie, to nie było inaczej napisane, jak ja wiedziałem.

— Z was rozumny człowiek, nie darmo nosicie głowę na karku — mruknął Jakób.

— Mój Jakóbie, nie potrzeba na to, co ja wiem, wielkiego rozumu; trzeba tylko nie chodzić po świecie jak ślepy. Ale to prawie każdy nie myśli nawet, że żyje na świecie, byle tylko miał co zjeść, gdzie się przespać, a jeszcze w co się przyoblec, to go już nic nie obchodzi. Czasem pomyśli sobie jeszcze o klaczy, co okulała, o krowie, co nie chciała żreć sieczki z otrębami i już koniec. Ktoby się tam o więcej trapił. A myśleć o tem, jak to Pan Bóg nasz świat stworzył, a to po co? Tatuś o tem nie myślell, dziadek nie myślał, a dobrze im było, bo to przecie do zbawienia duszy nie potrzebne. Ale wierzcie mi, moi sąsiedzi, że takie gadanie głupie jest, bo jeżeli opatrujecie buty, w których macie chodzić i chwalicie majstra, jeżeli je dobrze zrobił; to potrzeba też oglądnąć ten świat, na którym mieszkamy, bo majster jego pewnie lepszy od szewca. Kto poznaje dzieła Boskie, ten się uczy Pana Boga kochać i wielbić. Tak, tak, moi sąsiedzi.

(C. d. n.)

Wiadomości ze świata.

Z kraju i Monarchii. O powodziach, które takim smutkiem i nieszczęściem napełniły kraj nasz, pisaliśmy już w poprzednim numerze. Kiedy te słowa piszemy, w Krakowie już od dwóch dni pogoda: więc może miłosierny Bóg zlituje się nad nami i dalsze szkody powstrzyma. Kraj i państwo pospieszą nieszczęśliwym z pomocą, ale nawet połowy zwrócić im nie zdołają: ci godni są pożałowania i kto tylko może i czem może, niechaj im spieszy na ratunek, bo to powinność chrześcijańska. Oni sami powinni najdalej do ośmiu dni przez wójtów zawiadomić władze o rozmiarach szkód swoich, żeby mogły rzecz zbadać i potem ulgi podatkowe poczynić. Tego terminu przy wylewach i gradobiciach trzeba bardzo pilnować, bo późniejsze zgłoszenia nie są uwzględniane.

W tych dniach najznakomitsi posłowie z Rady państwa i najwybitniejsi politycy austryaccy odwiedzili nasz kraj z powodu wystawy. Byli to reprezentanci wszystkich krajów austryackich w liczbie koło 40. Zwiedzili najpierw osobliwości Krakowa i kopalnie soli w Wieliczce, a potem zatrzymali się w Łańcucie u hr. Potockiego. Wystawa we Lwowie bardzo się im podobała i wyjechali z naszego kraju bardzo zadowoleni z serdecznego przyjęcia, jakiego wszędzie doznali. Przekonać się mogli, że pragniemy dźwignąć się z biedy i dorównać na każdem polu oświeceńszym i zamożniejszym ludom austryackim, ale do tego brakuje nam jeszcze wiele i potrzebujemy poparcia zwłaszcza do podniesienia się majątkowego. Niemieccy posłowie, a był między nimi i prezydent Rady państwa, sędziwy poseł Chlumetzky i hr. Hohenwart, przywódca konserwatystów niemieckich, mogli się przekonać o niezłomnej wierności naszej dla Najj. Pana i szczerej przyjazni dla innych ludów austryackich, zwłaszcza dla tak poważnego narodu, jak niemiecki. Z ludami tymi pragniemy zabezpieczyć Monarchię austryacką przed wszelkiemi nieszczęściami, a od tej Monarchii żądamy z wielkiem umiarkowaniem tylko tego, co dla naszego rozwoju duchowego i majątkowego jest najniezbędniejsze. Poprzeć zatem nasze usiłowania to rzecz słuszna i sprawiedliwa.

Żydzi, masonowie i wszelacy ich usłużnicy tryumfują teraz na *Węgrzech*, bo ustawa o przymusowych ślubach cywilnych przeszła i w Izbie magnatów, co prawda większością tylko czterech głosów, ale przeszła. Według tej ustawy, skoro stanie się prawem, każdy poddany węgierski musi brać ślub cywilny przed urzędnikiem państwowym, którym może być każdy innowierca: żyd, kalwin, luter, Turek i co kto chce. Potem dopiero można wziąć i ślub kościelny, jeżeli się komu będzie podobało, a jak nie, to się bez tego obejdzie. Ktoby wpierw wziął ślub kościelny, a potem cywilny, będzie wraz z księdzem surowo karany. Ktoby zawarł tylko ślub kościelny, ślub ten będzie nieważny wobec państwa, a dzieci z takiego małżeństwa uchodzić będą za dzieci z nieprawego łoża pochodzące i nie mogą po rodzicach dziedziczyć majątku, chyba żeby był wyraźny testament, który im majątek przeznacza. Wtedy mogą dziedziczyć, ale jako obcy ludzie, nie dzieci. Zapowiedzi będzie ogłaszał w gazetach urzędnik i on także rozstrzygnie, czy są jakie przeszkody do małżeństwa. Kościół nie ma do tego nic a nic. Przeszkody, wynikające z różności wiary nie będą wcale przeszkodami. Żyd, kalwin, luter, Turek, katolik, poganin: wszystko to może się ze sobą wiązać i żyć bez wiary i Boga. Jeżeli się trafi zły ksiądz i zechce się ożenić, nic nie będzie szkodziło, że ma wyższe święcenia, że łamie przysięgę, Bogu złożoną: dostanie ślub do bezbożnego życia i kwita. O rozwodach rozstrzygać będą także urzędnicy, nie Kościół, i o rozwód nie będzie trudno. Oto jest treść tej ustawy, która, jak widzimy, do tego zmierza, żeby zgubić w ludziach bojaźń Bożą. Za tą ustawą mają pójść inne: o chrztach, metrykach itd. Dla Kościoła katoli-

ckiego wielka to klęska moralna, a dla biednego ludu chrześcijańskiego także i majątkowa. Żydom, masonom i ich usłużnikom: liberałom i socyalnym demokratom, radykałom i tym podobnym bezbożnikom chodzi też nie tylko o zgnębienie Kościoła katolickiego, ale także o te korzyści *majątkowe*. Oni wiedzą, że gdzie moralność ginie, tam wkrada się pijaństwo, procesownictwo, kradzieże i wszelakie hultajstwo: a wtedy niesumienne masoństwo wysysa krew z biednego ludu i tuczy się jego pracą. Kto chce wiedzieć, jak to wygląda, niech sobie przypomni te niedawne czasy u nas, kiedy tak zwane *Józefińskie* ustawy podkopały Kościół, zgnbiły moralność i dały włościaństwu pijaństwo, a miastom i dworom rozwiązłe życie. Gdyby nie towarzystwa wstrzemięźliwości, gdyby nie missye i podniesienie się Kościoła, gdyby nie ustawa naszego Sejmu przeciw lichwie i opilstwu, gdyby nie otrząśnięcie się całego naszego narodu z tych masońsko liberalnych sideł: Bóg jeden wie, coby się było dotąd z nami stało. Ile to gospodarstw włościańskich, ile dworów szlacheckich, ile mieszczańskich domów i ról przeszło wtedy w ręce żydowskie! Dziś jeszcze czujemy boleśnie to zubożenie, jakie nam dały tamte czasy. Masoństwo węgierskie wie, że i tam ludzie poznają się na jego wolności, jak ono nazywa walkę przeciw Bogu i moralności, ale nim to nastąpi, ponapycha kieszenie, a o to mu przedewszystkiem chodzi. Tak to Bóg karze nas katolików za to, że się nie trzymamy kupy, że sobie upomnienia Kościoła św. lekceważymy, że dajemy posłuch fałszywym *przyjaciołom ludu*. Czy i u nas przeciwnicy już ustąpili? Nie. Zaledwośmy się cokolwiek dźwignęli, już na nowo usiłują nas pochwycić w swe sidła, obiecując złote góry, byle tylko nie słuchać Kościoła. I nie brak nawet między włościanami takich nieoświeconych lub kupionych, co za takimi *przyjaciółmi ludu* sami idą i drugich ciągną, choć powinni wiedzieć, że dwie są tylko rzeczy do wyboru: kościół albo karczma. Nasi *przyjaciele* nie dbają już o Kółka rolnicze, o poprawę gospodarstwa, o twardą pracę codzienną, ale wierzgając przeciw rozporządzeniom Biskupów i swych pasterzy, urządzają wiece z usłużnikami masońskimi, a na nich, jak to było w Krakowie, noszą na rękach żydka-socyalistę i całują; żydkowie zaś chwalą się w swym *Naprzodzie*, jak to czynią teraz i na Węgrzech, że lud jest z nimi, że lud tego chce, co i oni. Baczność, Bracia włościanie! baczność, kto w Boga wierzy, bo będzie zle.

Francya. Do czego prowadzą fałszywi *przyjaciele ludu*, najlepszy przykład daje Francya. Sławny ten naród i potężny niegdyś staje się dziś pośmiewiskiem świata. Masoństwo zniosło tam monarchię, a zaprowadziło republikę, obiecując ludowi złote góry. Zamiast złotych gór przyszło najpierw bezpośrednie, powszechne głosowanie bez kuryj. To nam potrzebne — mówiło masoństwo — bo bez tego złotych gór dać wam nie możemy. Za pomocą tego głosowania wzięli masonowie rządy w swoje ręce i zabrali się do zniszczenia Kościoła. To nam potrzebne — mówili — bo z Kościoła pochodzi wszelki ucisk i wszystko złe. Kościół zosta zniszczony i podkopana wszelka moralność, ale złotych gór, jak nie widać, tak nie widać. Gdyby masonowie i ich usłużnicy mieli jaką uczciwość w sobie, byliby teraz powiedzieli: „Bracia kochani! pomogliście nam do tego, żeśmy rządy ujęli w swe ręce i teraz okradamy was bezkarnie; więc dziękujemy wam za to, bo nam z tem dobrze, ale wy po dawnemu weźcie się do roboty, bo bez tego nie ma chleba na świecie: ani w monarchii, ani w republice, ani w żadnym jakimkolwiek rządzie, czy bez rządu“. Ale gdzieby też ludzie nieuczciwi zdobyli się na jaką uczciwość! Przy każdych wyborach sypały się dalej obietnice i coraz gorsi ludzie dostawali rządy w ręce, aż wzięli je już sami prawie *radykaliści, socyaliści* i *rewolucyoniści*, to jest najniższy rodzaj masońskich usłużników. Ale czy się to na co zdało? Biedak został biedakiem, bo bez pracy nie ma kołaczy, a skutek wszystkiego tego pozostał tylko ten, że zapanowała ogólna bezbożność i nikt niepewny ani swego mienia, ani życia, a górą idą giełdziarze, złodzieje, rozbójniki i karczmarze. Ci ostatni wzięli dowództwo nad socyalistami i ilekroć czują w kieszeniach robotników pieniądze, nakłaniają ich, a nawet groźbami zmuszają do wstrzymania od roboty czyli do *strejku*. Wtedy naturalnie pijatyka, *mentale* socyalistyczne i mowy rewolucyjne ze skargami na biedę, aż karczmarze pieniądze wyłowią. Ci, co zasmakowali w próżniactwie i do żadnej roboty wziąść się już nie chcą, otrzymują bomby, rewolwery lub sztylety i przygotowują nowe nieszczęścia. O zbrodniach popełnianych z bombami pisaliśmy już nieraz, teraz zaś przyszła wiadomość o sztyletowej. Najwyższy zwierzchnik francuski, bo prezydent republiki Karnot, przybył z ministrami na jakąś uroczystość do miasta Lugdunu czyli Lyonu. Gdy po uczcie, danej na jego cześć, przed 10tą w nocy jechał do teatru, wskoczył do jego powozu jakiś anarchista, z pochodzenia Włoch, i utopił w nim sztylet. Zbrodniarza pochwycono, ale prezydent w dwie godziny potem umarł.

Oburzenie z powodu tego okropnego czynu jest wielkie we Francyi i wszędzie, ale zamiast oburzać się, lepiejby było do Boga powrócić, a z masoństwa i wszelkich bezbożnych liberalizmów się wyzwolić i takiemi hultajstwami, jak wolność szerzenia złych pism, i poniewieranie Kościoła katolickiego, jak śluby cywilne, jak szkoły bez krzyża itd., narodów nie bałamucić i nie psuć. Oburzenie jest słuszne, ale bez powrotu do Boga, do Kościoła i do sprawiedliwości opartej na prawach

Bożych niczego dobrego się nie zrobi. W *karczmie* musi być przecież zawsze tylko krzywda, zbrodnia i obraza Pana Boga.

Wiadomości i listy od Czytelników i Przyjaciół „Krakusa".

Z nad Wilgi. Dużo już wieków minęło od czasu, jak Pan Bóg przykazał ludziom czcić ojca i matkę swoją. Przykazanie to powtarzają od najdawniejszych czasów jedne pokolenia drugim, uczą go księża z ambon, a ludzie odmawiają je w modlitwie, ale nie wielu jest takich, którzyby przeciwko przykazaniu temu nie zgrzeszyli. Dopóki dzieci małe, dopóki zależą od swoich rodziców, to się ich i boją i szanują, bo wiedzą, że bez nich nie daliby sobie rady na świecie i poginęliby marnie. Ale kiedy odrosną i poczują się już na siłach, to coraz mniej dbają o swych rodziców i najczęściej za ich starania, troski i koszta, jakie na nich za młodu łożyli, odpłacają im niewdzięcznością, krzywdzą i poniewierają. Jeżeli zaś Pan Bóg starym późnego wieku doczekać pozwoli i kiedy już sterani pracą długiego życia nie mają sił do ciężkiej roboty, to dzieci zamiast robić na nich i na ich pożywienie, krzywdują sobie, że muszą żywić niedołężnych starców, którzy się już nikomu na nic nie przydadzą. Wyrodne takie dzieci, chociaż są w stanie wyżywić z czego swych rodziców, wyganiają ich nieraz z domu bez żadnego miłosierdzia na poniewierkę pomiędzy obcych ludzi po żebranym chlebie, niepomni na to, że i im później własne dzieci tak samo niewdzięcznością odpłacą. Ileż to z tych starców ubogich, włóczących się od wsi do wsi lub żebrzących opatrzności pod kościołem, było dawniej w dobrym stanie i tylko przez złość własnych dzieci w nędzę taką popadło.

Jeżeli się tak często między ludźmi dzieje, to tem przyjemniej jest usłyszeć, że bywa i inaczej, że są ludzie uczciwi i miłosierni, a przykład taki warto opisać, aby się ludzie nim budowali i sami również go naśladowali.

We wsi Gorzkowie, w parafii wielickiej, mieszka Antoni Ślęczka, który przed dwudziestu może laty ożenił się z córką pewnej wdowy, gospodyni ze sąsiedniej wsi Raciborska. Wdowa ta, nazwiskiem Wandasowa, straciła bardzo dawno męża a wychowawszy dziesięcioro dzieci na porządnych ludzi, gdy się już doczekała wnuków i prawnuków, uproszona przez Ślęczków zamieszkała u nich na starość, którzy też wraz ze swemi dziećmi otaczali ją przez lat kilkanaście serdeczną troskliwością, czcią i poszanowaniem. Staruszka prócz wdzięczności i błogosławieństwa nie miała się im za to czem odpłacić, bo dawno już rozporządziła swojem niewielkiem gospodarstwem, rozdzieliwszy wszystko, co miała, pomiędzy dzieci. Ale Ślęczkowie nie uważali na to, że się już od matki niczego spodziewać nie mogą, pamiętali o tem, że są jej dziećmi, a miłość i szacunek dla staruszki wpajali i w swoje drobne dzieci.

Staruszka z wiekiem niedołężniała coraz bardziej, traciła siły i wzrok, aż wreszcie zupełnie ociemniała. Wtedy Ślęczkowie nie tylko że dbali o wszelkie jej potrzeby, ale przeprowadzali po izbie lub wyprowadzali przed dom, aby staruszka ciepłem słońcem wiosennem ogrzać mogła stygnące z wiekiem ciało. A gdy w końcu w trzęsących rękach łyżki już utrzymać nie była w stanie, karmiono ją jak małe niemowlę, a dzieci Ślęczków ciągłą rozmową starały się rozrywać zgrzybiałą babkę, która i na umyśle zdziecinniała i najbardziej lubiła ich towarzystwo. Nareszcie staruszka, dziękując Bogu, że jej na starość takiej pociechy z dzieci, wnuków i prawnuków doczekać pozwolił i błogosławiąc całej swojej rodzinie, zmarła spokojnie, jak spokojnie przepędziła całe, długie, 94 lat trwające życie.

Pan Bóg wysłucha pewnie ostatnich modłów staruszki i zeszle błogosławieństwo Swoje na dom, gospodarstwo i całą, zacną rodzinę, która nie tylko słowami ale i postępowaniem względem matki wypełniała tak przykładnie Boskie przykazanie.

NOWINY.

— **Zamordowanie Karnota**, prezedenta Rzeczypospolitej francuskiej, wywołało w całym świecie ogromne oburzenie. Karnot — piszą gazety — niczem i nikomu się nie naraził, osobistych nieprzyjaciół nie miał a urząd swój sprawował z największem umiarkowaniem zamordowano go zatem tylko dlatego, że był przedstawicielem władzy, a to musi przerazić każdego, ktokolwiek wie, że bez władzy ludzkość obejść się przecie nie może. Z tego powodu budzi się myśl, żeby się wziąść ostro do socyalistów i anarchistów (rewolucyonistów). *Krakus* ciągle pisał, jakie niebezpieczeństwa grożą ludziom ze strony bezbożników i jest za tem żeby prawa na takie hultajstwa były ostre, ale podług *Krakusa* nie wiele to pomoże, jeżeli ludzie i rządy nie wrócą do Boga i do praw, na prawach Bożych opartych. Najciekawiej przedstawiają się teraz gazety masońsko-liberalne. I one się oburzają, ale dają Francyi naukę, żeby przypadkiem nie zniosła tych praw, które służą do podtrzymania i krzewienia wszelkiego hultajstwa. Prawa te nazywają oni „mądrą zdobyczą ludu". Gdzie i który lud domagał się bezbożności, jeżeli go nie oszukano i jak może być bezbożność mądrą: tego naturalnie gazety nie piszą. Od złych pism trudno naturalnie spodziewać się czego innego, wszak one musiałyby upaść, gdyby prawa były lepsze. Ojciec św., wszystkie rządy i monarchowie przesłali żonie Karnota wyrazy głębokiego współczucia. Prezydent Karnot przyjął przed śmiercią Sakramenta św. z rąk tego samego Biskupa lyońskiego, któremu rząd francuski niedawno temu odebrał pensyę za obronę praw Kościoła.

— **Za spokój duszy** ś. p. X. Kardynała Dunajewskiego odbywają się po kościołach krakowskich codziennie nabożeństwa żałobne. Na nabożeństwie w kościele

św. Barbary prześliczną mowę żałobną wygłosił X prałat Chotkowski.

— **Wikaryuszem kapitularnym** to jest zawiadowcą dyecezyi krakowskiej aż do obsadzenia stolicy biskupiej został wybrany jednogłośnie przez kapitułę Przewielebny X. prałat Feliks *Gawroński.*

Ceny zboża

(z targu na Kleparzu).

Kraków 26 czerwca

Płacono: za pszenicę białą od 7 złr. 20 ct. do 7 złr. 90 ct., za czerwoną od 7 złr. 20 ct. do 7 złr. 85 ct., za żółtą od 7 złr. 20 ct. do 7 złr. 80 ct, za żyto od 6 złr. 25 ct. do 6 złr. 60 ct., za jęczmień browarny od 6 złr. 25 ct. do 6 złr. 50 ct., na kaszę od 5 złr. 20 ct. do 5 złr. 50 ct., za owies od 6 złr. 20 ct. do 7 złr. — ct., za rzepak nowy od 9 złr. 50 ct. do 10 złr. — ct., za wykę od — złr. — ct. do — złr. — ct., za koniczynę czerwoną od — złr. do — złr., za białą od — złr do — złr. — Wszystko za 100 kilogramów.

Kalendarzyk tygodniowy.

Dnia	Święta rzymskie	Wschód słońca god.	Wschód słońca min.	Zachód słońca god.	Zachód słońca min.
	Lipiec ma dni 31.				
1	*Nied. 7 po Św.* Teobalda op. wyzn	3	36	7	49
2	Pon. Nawiedz. N. M. P. i Eugen.	3	37	7	49
3	Wt. Alfreda i Anatolego bisk. ◐	3	37	7	48
4	Śr. Józefa Kalas. i Prokopa m.	3	38	7	48
5	Cz. Cyrylla i Metodego ap. Słow.	3	38	7	47
6	Piąt. Izajasza pror. i Dominiki.	3	39	7	47
7	Sob. Estery kr. i Klaudyusza m.	3	40	7	47

Odpowiedzialny redaktor i wydawca:

Ksiądz Wawrzyniec Oprzędek.

Nakład i własność „Spółki wydawniczej polskiej w Krakowie, zarejestrowanej z ograniczoną porękąʻʻ.

W Krakowie. w drukarni „Czasu“ Fr. Kluczyckiego i Sp. pod zarządem Józefa Łakocińskiego.